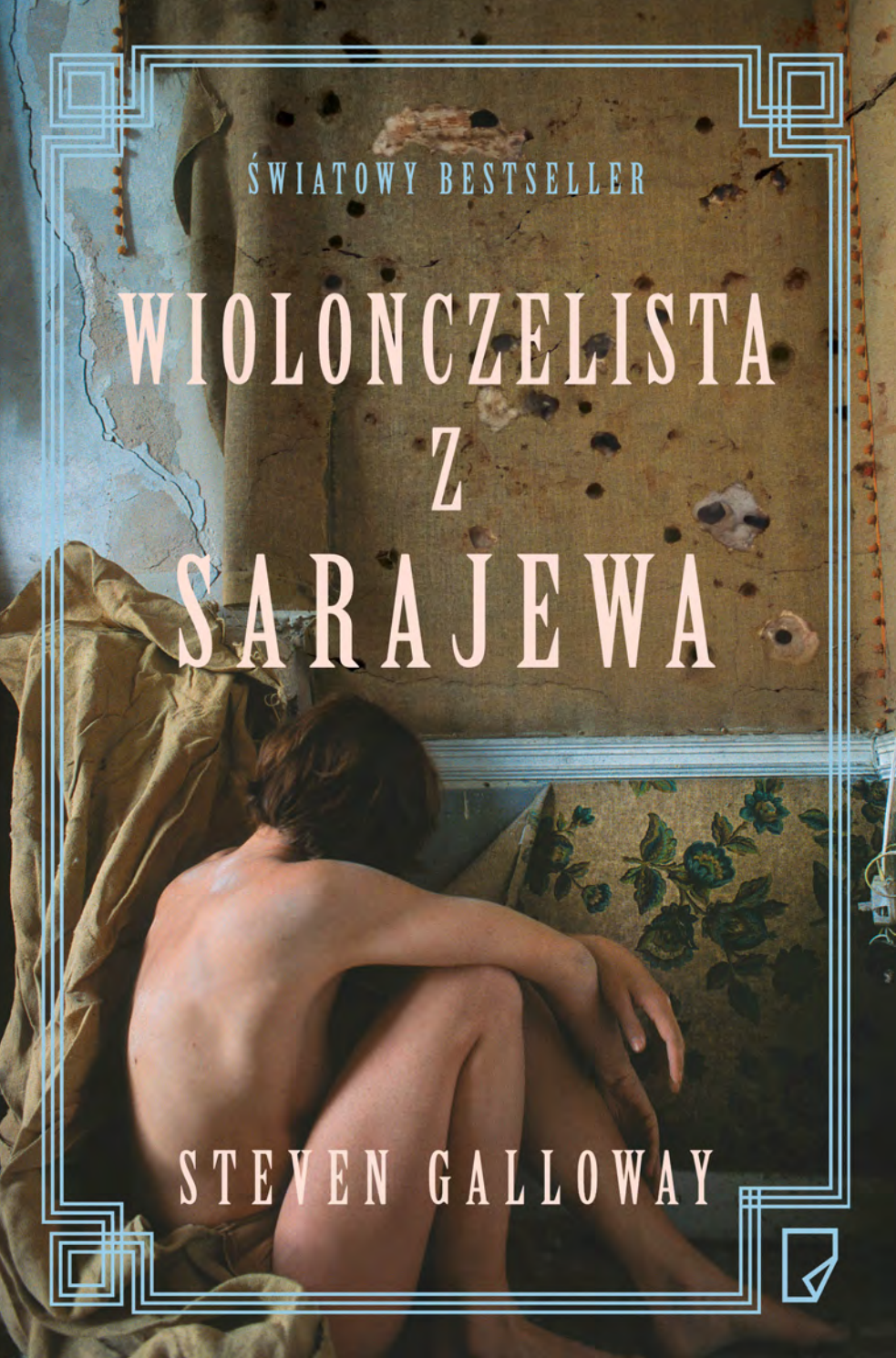




ŚWIATOWY BESTSELLER

WIOLONCZELISTA Z SARAJEWA

STEVEN GALLOWAY

STRZAŁA

Strzała mruży oczy. Długo czekała. Przez celownik karabinu widzi trzech żołnierzy stojących przy murku na wzgórzu nad Sarajewem. Jeden spogląda na miasto, jakby coś sobie przypominał. Drugi wyciąga zapalniczkę i podpala trzeciemu papierosa. Nie mają pojęcia, że ktoś do nich celuje. Pewnie im się wydaje, że znajdują się w bezpiecznej odległości od frontu. Mylą się. Być może sądzą, że budynki stanowią wystarczającą osłonę. Są w błędzie. Mogłaby w każdej chwili zabić jednego z nich, a może nawet dwóch. I niebawem to zrobi.

Ci trzej mają powody, by czuć się bezpiecznie. Gdyby mierzył do nich ktoś inny, raczej nie mieliby się czego bać. Kilometr to duża odległość; karabin Strzały, taki sam, jakiego używają prawie wszyscy obrońcy Sarajewa, ma zasięg ośmiuset metrów. Powyżej tej odległości szanse trafienia do celu są znikome.

Ale nie dla Strzały. Ona potrafi posłać kulę tam, gdzie inni strzelcy nie umieją.

Dla większości snajperów strzelanie z dużej odległości to połączenie sztuki obserwacji z matematyką. Trzeba oszacować siłę i kierunek wiatru oraz dystans. Obliczenia muszą uwzględniać prędkość pocisku, grawitację, moc powiększającą celownika. Zupełnie jak przy rzucie piłką. Piłki nie rzuca się prosto w cel, ale nadaje się jej trajektorię, która się z nim przetnie. Strzała nie dokonuje pomiarów, nie bawi się w obliczenia. Po prostu posyła kulę tam, gdzie trzeba. Nie bardzo rozumie, dlaczego innym snajperom sprawa to kłopot.

Jej stanowisko znajduje się w szkielecie wypalonego wieżowca biurowego, kilka metrów od okna z widokiem na południowe wzgórza. Nawet gdyby ktoś uważnie się przyglądał, trudno byłoby mu dojrzeć drobną młodą kobietę z czarnymi włosami do ramion, przyczajoną w dymiących gruzach kiedyś normalnego życia. Leży na brzuchu, nogi ma częściowo zakryte starą gazetą. Jedyne, co mogłoby ją zdradzić, to jej duże, jasne niebieskie oczy.

Strzała uważa, że nie ma nic wspólnego ze snajperami na wzgórzach. Bierze na cel wyłącznie żołnierzy. Oni strzelają do bezbronnych mężczyzn, kobiet

STRZAŁA

i dzieci. Za każdym razem, gdy pociągają za spust, chodzi im o coś więcej niż o zabicie człowieka. Usiłują zabić Sarajewo. Każda śmierć pustoszy miasto jej młodości równie dotkliwie jak granaty spadające na budynki. Żywi oprócz towarzysza tracą również wspomnienie miasta, w którym człowiek mógł przejść na drugą stronę ulicy bez obawy, że ktoś go zastrzeli.

Dziesięć lat temu, kiedy miała osiemnaście lat i nie mówiono na nią Strzała, pożyczyła od ojca samochód i pojechała na wieś odwiedzić znajomych. Dzień był słoneczny, bezchmurny, auto zdawało się jechać samo, jakby kierowane siłą przeznaczenia według jakiegoś tajemnego planu. Za którymś zakrętem w radiu puszczono jedną z jej ulubionych piosenek, słońce przeświecało przez drzewa niczym przez koronkowe firanki, przypominając jej o babci, i wtedy nagle po twarzy pociekły jej łzy. Nie z powodu babci, która wówczas cieszyła się jeszcze świetnym zdrowiem, lecz pod wpływem szczęścia, radości z życia, tym silniejszej, że ono kiedyś niechybnie się skończy. To doznanie było tak potężne, że musiała zjechać na pobocze. Później czuła się trochę głupio i nigdy nikomu o tym nie powiedziała.

Dziś jednak wie, że to wcale nie było głupie. Dziś rozumie, że całkiem niechcący dotknęła najgłębszej

istoty ludzkiego życia. To rzadki dar – zdać sobie sprawę, że twoje życie jest cudem i że nie będzie trwało wiecznie.

Kiedy więc Strzała pociągnie za spust i zakończy życie jednego z tych żołnierzy na wzgórzu, uczyni to nie dlatego, że chce go zabić – choć nie może temu zaprzeczyć – lecz dlatego, że ci ludzie odebrali ten dar jej i większości mieszkańców Sarajewa. Ulotność życia stała się czymś tak oczywistym, że przestała cokolwiek znaczyć. A najgorsza w tym wszystkim jest przepaść między tym, co wie, a tym, w co wierzy. Bo choć wie, że jej łzy tamtego dnia nie były głupią ckliwością nastolatki, niezwykle trudno jej w to uwierzyć.

Z górującej wysoko nad okupowaną Grbavicą twierdzy Vraca ci żołnierze bombardują miasto w poczuciu bezkarności. Podczas drugiej wojny światowej Vraca była miejscem, gdzie hitlerowcy torturowali i mordowali swoich przeciwników. Nazwiska ofiar wryto w kamiennych schodach, lecz wtedy mało kto walczył pod prawdziwym nazwiskiem. Większość bojowników przybierała nowe imiona, które mówiły o nich więcej niż chełpliwe opowieści pijaków w knajpach; imiona, o których późniejsze władze, próbujące przekuć ich czyny w propagandę, wołałyby zapomnieć. Mówi się, że działali pod pseudonimami, by

STRZAŁA

nie narażać bliskich – by móc prowadzić dwa równoległe życia. Ale Strzała przypuszcza, że chcieli przede wszystkim odseparować się od tego, co robili, by potem łatwiej było im wrócić do normalnego życia. Nienawiść do ludzi na wzgórzach – za ich własną nienawiść, która była pierwsza, i za wyrządzoną jej krzywdę – zrodziła w niej potrzebę oddzielenia tej części siebie, która zamierzała, wręcz pragnęła walczyć, od tej, która nigdy walczyć nie chciała. Gdyby pozostała przy swoim nazwisku, nie różniłaby się niczym od żołnierzy, do których strzela. W pewnym sensie czułaby się wtedy bardziej martwa, niż gdyby zginęła naprawdę.

Mówiła o sobie Strzała od początku, odkąd pierwszy raz sięgnęła po karabin, by zabić człowieka. Niektórzy nadal zwracają się do niej po imieniu. Ignoruje ich. Jeżeli są uparci, przypomina, że teraz nazywa się Strzała. Nikt z nią nie dyskutuje. Nikt nie podważa jej wyborów. Każdy stara się przetrwać po swojemu. Ale gdyby ktoś ją przycisnął, odpowiedziałaby: „Jestem Strzała, bo nienawidzę tamtych. Ta dziewczyna, którą znaliście, nie miała w sobie nienawiści”.

Strzała wzięła dziś na cel żołnierzy koło Vraci, bo nie chce, żeby wróg czuł się tam bezpiecznie. To będzie bardzo trudny strzał. Co prawda z kryjówki na ósmym piętrze zniszczonego wieżowca, lecz to nie

zmienia faktu, że twierdza jest położona wysoko i zasłonięta kilkoma budynkami. Trzeba będzie zmieścić kulę między nimi. Żołnierze muszą pozostać na obszarze około trzech metrów. Dym z płonących zabudowań co jakiś czas przesłania jej widok. Gdy tylko odda strzał, każdy snajper na południowym wzgórzu natychmiast zacznie jej szukać. Nie zajmie im to długo. Zaczną ostrzeliwać wieżowiec, jeśli będzie trzeba, zrównają go z ziemią. Nieprzypadkowo jest spalony – stanowi łatwy cel. Szanse ucieczki są małe. Ale dla Strzały takie wyzwanie to nic nowego. Zdarzało się jej strzelać w trudniejszych warunkach i nieraz musiała się liczyć z szybszym odwetem.

Wie dokładnie, ile czasu potrzebują, żeby ją zlokalizować. Gdzie będą szukać i gdzie spadną pociski. Kiedy kanonada ucichnie, ona będzie już daleko stąd i wszyscy, włącznie z innymi obrońcami miasta, będą się zastanawiać, jak to zrobiła. Nie zrozumieliby, nawet gdyby im powiedziała. Nie przekonałoby ich, że Strzała wie, jak zachowa się broń, ponieważ sama jest bronią. To szczególny rodzaj geniuszu, nie do pozazdroszczenia. Ona sama, gdyby to zależało od niej, wolałaby w niego nie wierzyć. Wie jednak, że nie ma wyboru. Człowiek nie wybiera sobie wiary. To wiara wybiera nas.

STRZAŁA

Jeden z trzech żołnierzy oddala się od towarzyszy. Strzała patrzy w napięciu, czy pożegnają go salutem.

Jeżeli tak – strzeli. Przez chwilę ma wątpliwości, nie potrafi odczytać ich gestów. Żołnierz wychodzi poza wąski korytarz strzału. Tą z pozoru nieistotną decyzją uchronił się od śmierci. Strzała wie, że życie niemal w całości składa się z takich momentów.

Obserwuje ich jeszcze chwilę, wypatrując jakiegoś detalu, który podpowie jej, który powinien zginać jako pierwszy. Zamierza oddać dwa strzały i zabić obu. Nie jest jednak pewna, czy nadarzy się ku temu okazja, a jeśli ma zabić tylko jednego, wołałaby dokonać właściwego wyboru, o ile taki istnieje. Koniec końców to pewnie bez różnicy. Możliwe, że jeden z nich przeżyje, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak niewiele brakowało. Będzie to sobie tłumaczył szczęściem, zrządzeniem losu, opatrnością. Nigdy się nie dowie, że ledwie ułamek milimetra w ustawieniu lufy dzieli promień słońca na twarzy od ziejącej dziury w klatce piersiowej, przez którą – z bólem wydającym mu się większym niż cały świat – wyciekłoby wszystko, czym był i mógł się stać w życiu.

Jeden z żołnierzy mówi coś ze śmiechem. Drugi mu wtóruje, ale w jego uśmiechu jest coś wysiłonego, jakby śmiał się jedynie przez wzgląd na towarzysza.

Strzała myśli. Którego zastrzelić, kawalarza czy klakiera? Nie może się zdecydować. Przez parę kolejnych minut patrzy, jak palą papierosy i rozmawiają. Ich dłonie kreślą w powietrzu ostre kształty, akcentują słowa, czasem zastygają nieruchomo jak noże przygotowane do ciosu. Obaj są młodzi, młodszy od niej; gdyby popuściła nieco wodze fantazji, mogłaby sobie wyobrazić, że dyskutują o meczu piłkarskim. Może zresztą właśnie o tym rozmawiają. Wcale by się nie dziwiła, gdyby dla nich to wszystko było swego rodzaju grą. Chłopcy z granatami zamiast piłek.

Obaj odwracają głowę, jakby ktoś ich zawołał. Strzała wie, że nie może dłużej zwlekać. Wybiera jednego z nich. Nie wie, dlaczego akurat tego – może stanowi łatwiejszy cel, może wydał się jej groźniejszy, a może któryś z nich jest podobny do kogoś, kogo znała i lubiła albo nie znosiła? Nieważne. Wydycha powietrze, a jej palec naciska spust, na którym jeszcze przed chwilą tylko się opierał. Kula przekracza barierę dźwięku, rozrywa materiał, skórę, kości, mięśnie i narządy, rozpoczynając krótki proces przemiany żywego w martwe.

Kiedy składa się do drugiego strzału, w ułamku sekundy dociera do niej, że coś nie gra. Żołnierze na wzgórzach wiedzą, gdzie się ukryła. Rezygnuje ze

STRZAŁA

strzału i czując na sobie wzrok snajpera, przewraca się na bok. Zasadzał się na nią przez cały ten czas, aż ujawniła swoją kryjówkę. Dała się zwabić w pułapkę. W miejsce, gdzie przed chwilą leżała, uderza kula. Biegając ku wypalonej klatce schodowej, słyszy wystrzał z karabinu, ale nie słyszy uderzenia. To znaczy, że snajper albo całkiem chybił, albo ją trafił. Nie czuje żadnego bólu, ale mówiono jej, że w pierwszej chwili to normalne. Nie ma sensu teraz sprawdzać. Jeżeli kula ją dosięgła, niebawem da o sobie znać.

Gdy Strzała wbiega na schody, przez dach wpada pocisk z moździerza i wybucha. Kiedy jest na wysokości szóstego piętra, ósme zawala się wskutek kolejnej eksplozji. Na piątym Strzała instynktownie rewiduje swój plan i skręca w ciemny, wąski korytarz, uciekając ile sił przed następnym granatem, który lada moment uderzy w klatkę schodową. W chwili wybuchu jest już w bezpiecznej odległości, nie dosięgają jej kawałki stali, drewna i betonu, ten rój pocisków, spóźniona zapłata za jedną wystrzeloną kulę. Dopiero gdy ostatnie odłamki pocisku lądują na podłodze, zawraca w stronę schodów. Nie ma wyboru. To jedyna droga wyjścia z budynku. Jeżeli pozostanie w środku, tamci wyrównają z nią swoje rachunki. Wraca więc

na klatkę schodową, nie wiedząc, co z niej zostało. Piąte piętro zawało się na czwarte; zeskakując na dół, zastanawia się, czy podłoga wytrzyma jej ciężar. Wytrzymała. Teraz trzeba trzymać się wewnętrznej ściany między klatką a resztą budynku, bo tam runęło najmniej gruzu.

Na parterze słyszy kolejny wybuch i choć od głównego wyjścia z budynku dzieli ją tylko kilka kroków, zbiega jeszcze niżej, do piwnicy. Przemyka po omacku ciemnym korytarzem, aż napotyka drzwi. Otwiera je ramieniem. Przejście z mroku w światło na moment ją oślepia, lecz nie zatrzymuje się ani na chwilę. Znajduje się teraz w niskiej klatce schodowej w północnej części wieżowca, częściowo osłoniętej przed żołnierzami na wzgórzach. Przyzwyczajając oczy do nowego otoczenia, uświadamia sobie, że grzmoty pocisków przytępiły jej słuch – jak wtedy, kiedy nurkowała z koleżanką w basenie i śmiały się z tego, jak dziwnie, obco i niezrozumiale brzmią ich imiona wykrzykiwane pod wodą. Opuszcza budynek i kieruje się na wschód. Czuje ból w boku. Spogląda w dół, obawiając się, że ujrzy własny żołądek przyciśnięty do strzaskanych żeber. Okazuje się jednak, że to tylko draśnięcie; musiała się skaleczyć podczas ucieczki z wieżowca.

STRZAŁA

Idąc w stronę śródmieścia, do kwatery dowodzenia swojej jednostki, zwraca uwagę na ciemniejące niebo. Spadają pierwsze krople deszczu, wyparowują z jej rozgrzanego czoła. Obmacuje sobie bok – ani śladu świeżej krwi. Widocznie to nic poważnego. Dlaczego ta myśl nie przynosi jej ulgi?

To wyśmienita i poruszająca opowieść,
od której nie można się oderwać – o przetrwaniu,
o walce z pokusą nienawiści, o niezłomności człowieka,
o odwadze i wytrwałości złamanego miasta.

O sile, z jaką muzyka kształtuje
nasze człowieczeństwo.

Dwadzieścia dwa dni
wolonczelista z Sarajewa w zniszczonym smoku
każdego popołudnia o tej samej porze gra *Adagio* Albiniego,
by uczcić pamięć dwudziestu dwóch niewinnych
osób zabitych w kolejkę po chleb.

Ta muzyka – tak irracjonalna wśród gruzów
Sarajewa – zmienia wiele w życiu
nie tylko trojga bohaterów tej książki:

Kenana starającego się zdobyć wodę dla swoich bliskich,
Dragana dzień w dzień przemierzającego drogę do piekarni,
który boleśnie przeżywa rozłąkę z mieszkającymi
za granicą synem i żoną,
i niezrównanej snajperki o pseudonimie Strzała.

www.morginesy.com.pl



cena 34,90 zł

PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

ROOM